

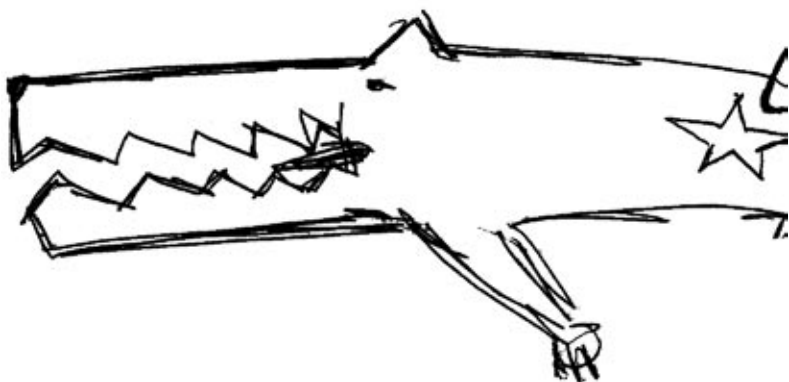
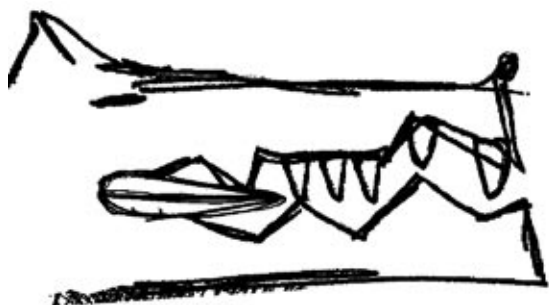
Jerzy Bandrowski

WŚCIEKŁE PSY



Klub Opowieści
NIEZWYKŁYCH

WŚCIEKŁE PSY



Jerzy Bandrowski
WŚCIEKŁE PSY

Redakcja i wstęp
Piotr Kitrasiewicz

Jirafa Roja
Warszawa 2005

© Copyright by Jerzy Bandrowski

© Copyright by Jirafa Roja, 2005



Klub Opowieści
NIEZWYKŁYCH

Skład i łamanie: **Tatsu** 

Projekt okładki: **Natalia Gościński**

ISBN 978-83-62948-62-8



Wydanie I
Warszawa 2005

Jerzy Bandrowski

W cieniu sławnego brata

Kiedy w 1921 nakładem lwowskiego wydawnictwa ukazała się po raz pierwszy powieść „Wściekle psy”, jej autor, Jerzy Bandrowski, był już pisarzem z niemałym dorobkiem. Ale chociaż do swojej śmierci w 1940 roku opublikował jeszcze szereg książek, to nigdy nie stał się autorem hołubionym przez krytyków. Zadecydowała o tym w pewnym stopniu duża poczytność napisanych dość lekkim piórem jego utworów. Utworów zawierających wartką i przesyconą sensacyjnością fabułę, co sprawiało, iż recenzenci nazbyt gorliwie klasyfikowali je do gatunku literatury podrzędnej, pisarstwa klasy B. Nie był to jednak czynnik rozstrzygający. Bardziej istotne znaczenie miał fakt, że Jerzy Bandrowski był starszym o dwa lata bratem Juliusza Kadena-Bandrowskiego, słynnego pilsudczyka, pułkownika, autora licznych powieści i opowiadań, takich jak „Generał Barcz”, „Mateusz Bigda”, „Czarne skrzydła”, „Miasto mojej matki”, beniaminka sanacyjnych recenzentów. Sława hałaśliwego, rozpolitykowanego Juliusza przysłoniła twórczość jego starszego brata, który posunął się nawet do tego, że w 1929 roku zamieścił list na ten temat na łamach „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, popularnego „IKAC-a”, najchętniej kupowanego dziennika w przedwojennej Polsce. Oto jego treść:

„Ponieważ w ostatnich czasach miałem wiele przykrości z tego powodu, że mniej znający stosunki literackie mylili mnie z mym bratem Juliuszem Kaden-Bandrowskim, autorem znanego skandalicznego odczytu, proszę o umieszczenie w waszym poczytnym piśmie mego oświadczenia, że poza związkami krwi, pomimo niezmiennej miłości braterskiej ideowo ani życiowo nic mnie z nim nie łączy. Podwójne nazwisko, jakiego on używa, ma oznaczać tylko, że jako młodszy mój brat i młodszy ode mnie pisarz, chcąc się ode mnie

odróżnić, do czego miał zupełne prawo, do nazwiska ojca przydał nazwisko naszej matki”.

Zwróćmy uwagę na to: „nic mnie z nim nie łączy”. Braci dzieliło sporo, także polityka. Jerzy skłaniał się w stronę wrogiej sanacji Narodowej Demokracji. Zapewne drażniła go rozdmuchiwana przez wpływową prasę prorządową popularność młodszego brata i młodszego – jak sam napisał w liście – pisarza. Irytowała go jego bezczelność i obcesowość, wywoływane skandale i brutalne polemiki prasowe. Bo Kaden-Bandrowski był człowiekiem o rozległych wprawdzie zainteresowaniach i reprezentującym wysoki poziom intelektualny, ale jednocześnie zachowującym się w sposób typowo koszarowy: apodyktyczny, brutalny, mówiąc krótko – chamski. Mając „niewyparzoną gębę”, Kaden był jednak mężczyzną odważnym i nie bał się nawet narazić samemu Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu zarzucając mu, że – „Panu Marszałkowi u dupy wisi polska kultura” (było to po tym, jak Rydz-Śmigły zignorował zaproszenie na wykład Leopolda Staffa, któremu patronował właśnie autor „Generała Barcza” z ramienia Polskiej Akademii Literatury). Ale nade wszystko irytowało starszego Bandrowskiego to, iż jego – Jerzego – mylono aż nadto często z Juliuszem. Ciągłe więc zmieniał miejsca pobytu i pograżał się w alkoholizmie, do którego miał niewygastłą skłonność jeszcze od młodych lat.

Nadwrażliwy samotnik

Jerzy Bandrowski urodził się 22 stycznia 1883 roku w Rzeszowie. Pochodził z szanowanej i zamożnej rodziny o mocno sprecyzowanych ambicjach i zainteresowaniach artystycznych. Jego ojciec, Juliusz, był lekarzem, ale porzucił praktykę medyczną na rzecz sztuki. Interesując się teatrem i publikując wiele artykułów dotyczących problemów Melpomeny, przez wiele lat dyktował różnym scenom, najpierw we Lwowie, potem w Krakowie i Warszawie. Brat ojca, Aleksander Bandrowski, zasłynął jako śpiewak operowy, wykonawca trudnych partii wagnerowskich. Jego córką była znana sopranistka, Ewa Ban-

drowska-Turska. Matka Jerzego, Helena, pochodziła ze szlacheckiej rodziny Kadenów. Od najmłodszych lat Jerzy często zmieniał miejsce pobytu. Do gimnazjum uczęszczał w Krakowie i Lwowie, studia w zakresie filologii słowiańskiej rozpoczął na Uniwersytecie Jagiellońskim, a kontynuował je w Pradze. Ze stolicy Czech nadsyłał do krajowych czasopism liczne korespondencje dotyczące tamtejszego życia kulturalnego. Odtąd dziennikarstwo stanie się jego drugą – po literaturze – pasją.

Jako pisarz zadebiutował opowiadaniem opublikowanym w 1902 roku w warszawskim „Kurierze Porannym”. Wkrótce rozpoczął karierę humorysty i satyryka ogłaszając na łamach licznych pism wiersze, epigramaty i opowiadania podpisywane pseudonimem: Tersytes, nawiązując tym imieniem do postaci tchórzliwego Greka samochwały z homerowej „Iliady”. Pierwszą książkę opublikował we Lwowie w 1910 roku. Był to zbiór żartobliwych wierszy noszący tytuł „Bajki ucieczne”. W tym samym roku ukazała się jego pierwsza powieść „Romans Marty”, a w trzy lata później tom „Osaczona i inne nowele”. Wybuch I wojny światowej zastał Bandrowskiego we Lwowie. Zareagował na wojnę cyklem felietonów zamieszczanych w lokalnym dzienniku „Słowo Polskie”, których ostrze wymierzone było przeciwko państwom centralnym czyli Niemcom i Austro-Węgrom. Wymagało to sporej odwagi, gdyż Lwów znajdował się przecież na terenie zaboru austriackiego. W kilka lat później felietony te wydał w tomie zatytułowanym „W płomieniach”. Po zajęciu miasta przez wojsko rosyjskie, Jerzy wyjechał w głąb imperium carskiego. Pracował w polskich gazetach wydawanych w Kijowie i w Moskwie. Trafił na Daleki Wschód, gdzie służył w sformowanej tam czechosłowackiej dywizji im. Jana Husa. Potem współorganizował polską Dywizję Syberyjską. Jako członek Polskiego Komitetu Wojennego wyjechał do Władywostoku, gdzie powierzono mu skomplikowaną i niełatwą misję kurierską. Miał dotrzeć do Paryża i zameldować się u generała Józefa Hallera. Aby wykonać powierzone mu zadanie musiał przebyć połowę świata. Do Francji dotarł bowiem przez Japonię, wyspy malajskie, Egipt i Gibraltar. Wrażenia i obserwacje z tej długiej podróży wykorzysta w swoich przyszłych powieściach i opowiadaniach. Przebywając

u schyłku wojny ponownie w Kijowie zajmował się aktywną pracą agitatorską, pisząc między innymi broszury polityczno-patriotyczne typu „Kim był książę Józef Poniatowski?”, „Legiony Dąbrowskiego”, „Legiony Piłsudskiego”. Po proklamowaniu niepodległego państwa polskiego zamieszkał we Lwowie, gdzie współpracował jako felietonista oraz publicysta ze „Słowem Polskim”, „Gazetą Wieczorną”, „Gazetą Poranną”. Lata 1924-25 spędził w podwarszawskiej Utracie. W okresie tym związał się z endecką „Gazetą Poranną 2 grosze”. Wkrótce przeniósł się do Poznania. Pisywał do „Kuriera Poznańskiego” oraz – w latach 1936-39 – do tygodnika „Kultura”. Wybuch wojny zastał go w stolicy Wielkopolski. Po przyłączeniu przez Niemców Poznania do Rzeszy, Bandrowskiego wyrzucono z jego mieszkania. Ratował się powrotem do Krakowa, gdzie miał rodzinę mogącą udzielić mu schronienia. Tam też zmarł w 1940 roku.

Bandrowski pozostawił po sobie liczne powieści, z których większość ukazała się w dwudziestoleciu międzywojennym. Utwory napisane tuż po zakończeniu I wojny światowej noszą wyraźne piętno jego wojennych przeżyć, zręcznie przerobionych na literacką, sensacyjno-przygodową fabułę. Są to: „Przez jasne wrota” (1920), opis podróży z Syberii przez Japonię i Malaje do Francji i Polski, powieści „Pielgrzymi”, „Czerwona rakietka” i „Wściekłe psy” (wszystkie trzy wydane w 1921 roku). Z licznego dorobku prozatorskiego Bandrowskiego warto wymienić także „Sosenkę z wydm” (1930), opowiadania morskie będące jednym z nielicznych opisów w ówczesnej literaturze polskiego Pomorza oraz „Pałac połamanych lalek” (1935), powieść z akcją rozgrywającą się w zakładzie dla psychicznie i nerwowo chorych.

O Bandrowskim pisano niewiele, krytycy na ogół pomijali jego twórczość niechętnym milczeniem. Z jego literatury wydobywano głównie wątki przygodowe, porównując jego pisarstwo ze stylem charakterystycznym dla Jacka Londona, a z rodzimego podwórka z Ferdynandem Antonim Ossendowskim i Ferdynandem Goetlem. Byli jednak i tacy ludzie pióra, którzy go doceniali.

„Płodny i utalentowany beletrysta, przez niektórych, ubocznymi względami kierujących się krytyków spychany do oficyn literatury. Może jednak stale rosnące zainteresowanie czytelników dostarczy mu

przynajmniej częściowej satysfakcji” – pisał Rajmund Bergel na łamach „Polonii” w 1930 roku. Z kolei w innym czasopiśmie recenzent kryjący się za inicjałami F.J. tak scharakteryzował osobę i twórczość autora „Wściekłych psów”:

„Jerzy Bandrowski nie ma nic wspólnego z żadną z wpływowych grup literackich. Nie jest to przypadek: pisarz ten nie pasuje do żadnego ze znanych nam środowisk. Jego samotność nie jest zresztą świadomą postawą indywidualisty, wynika raczej z chorobliwej nadwrażliwości. Powieści Bandrowskiego robią wrażenie oryginalnych, choć nie zawsze są takimi w rzeczywistości. Jest w nich zacieklność i jakaś omdlałość zarazem, staroszlachecki wigor i dekadencja „inteligenta”, świeżość i zapach jesieni” („Gazeta Warszawska”, 1934).

Podobnie scharakteryzował Bandrowskiego w rok później znany krytyk i historyk teatru, Adam Grzymała-Siedlecki, pisząc w „Kurierze Warszawskim”:

„Jerzy w gospodarce swoją karierą lekkomyślny, rozrzutny talentem, o reklamę niedbały, cygan artystyczny dożywotni, jest jednak jedną z najbujniejszych organizacji psychicznych, jakie się przesunęły przez ostatnie 25 lat naszego piśmiennictwa”.

Warto zaznaczyć, że niektóre z książek Bandrowskiego zostały przetłumaczone na języki obce: czeski i słowacki. On sam również parął się tłumaczeniami, przekładając na polski m.in. Rabindranatha Tagore’go, Rudyarda Kiplinga, Jacka Londona.

Bestseller roku 1921

„Wściekle psy” ukazały się w 1921 roku we Lwowie, a więc wkrótce po odparciu nad Wisłą przez żołnierzy Piłsudskiego bolszewickiej inwazji w 1920 roku. Temat zagrożenia ze strony sąsiednich Sowietów był wówczas bardzo na czasie, a więc nic dziwnego, że zręcznie napisana, antykomunistyczna powieść Bandrowskiego cieszyła się powodzeniem u czytelników. Jej drugie wydanie ukazało się w 1930 roku w Poznaniu, gdzie pisarz opublikował większość swoich dzieł. Współpracował z wydawnictwem Rudolfa Wegnera,

znanego w środowisku wydawców skąpca, można więc mniemać, że panu Jerzemu nie przelewało się w życiu codziennym. Jak już sygnalizowałem, „Wściekle psy” były trzecią częścią trylogii ukazującej losy Polaków w tragicznych latach ogarniętej rewolucją Rosji: od rewolucji lutowej i końca rządów caratu do objęcia władzy przez bolszewików i zaprowadzenia przez nich okrutnego terroru.

„*Prawda historyczna bierze może w tej powieści górę nad prawdą artystyczną, ale i tak rzecz jest bardzo zajmująca*” – stwierdził w krakowskim „Czasie” recenzent A.O., czyli znany krytyk i historyk Tadeusz Sinko. Najwięcej miejsca poświęcił Bandrowskiemu wydawca i historyk literatury polskiej Leon Piwiński:

„*Jego «Pielgrzymi», «Czerwona rakietą» i «Wściekle psy» są jednym wielkim pamiętnikiem przeżyć autora, najpierw w «gminie wygnańczej» pod Charkowem, później w Kijowie w czasie wybuchu pierwszej rewolucji rosyjskiej, ruchów ukraińskich i rewolucji bolszewickiej. Autor miał zamiar artystycznego zorganizowania swych bajecznie bogatych materiałów wspomnieniowych z tego okresu. Zamiar ten udał mu się tylko w nieznacznym stopniu. Nie fabuła, nie fikcyjne postaci powieści, nie konstrukcja artystyczna, lecz konkretność obserwacji i bezpośredniość przeżyć wysuwa się tutaj na pierwszy plan i nadaje wartość niezwykłą tym utworom. Wydaje się, że autor mógłby zaniechać zupełnie nikłego wątku powieściowego i przemówić wprost od siebie, a czytelnik nie zauważyłby tego i słuchałby go z takim samym zainteresowaniem. Autor bowiem umiał patrzeć: oczy miał nieustraszone i otwarte na wszystko; umysł mocny i pewny nie zbłądził się w piekle sprzecznych wydarzeń i nie dał się otumanić żadnemu uprzedzeniu. Rysem najbardziej charakterystycznym organizacji duchowej autora jest zasadnicza życzliwość dla wszystkiego co ludzkie. Życzliwość i nigdy nie słabnące zainteresowanie. Stąd płyną wielkie zalety jego opowiadań: prostota, naturalność, prawda artystyczna i – ponad wszystko – prawda historyczna*” („Przegląd Warszawski”, 1922).

We „Wściekłych psach” Bandrowski skupia się na odmalowaniu życia Moskwy już po zwycięstwie bolszewickiej rewolucji, ale jeszcze przed zagarnięciem przez Lenina i Trockiego pełni władzy. Dzia-

ląają inne partie polityczne, wychodzą opozycyjne wobec komunistów czasopisma. Błądząc po Moskwie, główny bohater, Zaucha, styka się z anarchistami, drugą po bolszewikach siłą polityczną ówczesnej Rosji. Brutalna rozprawa bolszewików z anarchistami – „krasnoarmiejców” z „czarnogwardziejcami” – stanowi finał tej barwnej opowieści ukazującej z reportażową momentami dokładnością życie i mentalność mieszkańców rewolucyjnej Moskwy, w tym nędzę i potworności okresu przejściowego. Nie brakuje w tych opisach przesycionej emocjonalnością tendencyjności (m.in. w zobrazowaniu i roli Żydów oraz Łotyszów), nie brakuje wykrzywień plastycznych i ideologicznych. Dla Bandrowskiego tamta Moskwa była dnem piekła, w którym uwięźli miejscowi i przyjezdni, nie chcący lub nie mogący wyrwać się z tej otchłani. Piekłu temu, przez które sam przeszedł nadał w swojej powieści cechy apokaliptyczne, utrwalając jednocześnie liczne obyczajowe i topograficzne szczegóły, mające niekiedy niebagatelną wartość dokumentalną.

* * *

Wydanie „Wściekłych psów”, które oddajemy do rąk Czytelników jest pierwszą powojenną edycją tej pozycji. W Polsce Ludowej rzecz jasna powieść ta nie mogła się ukazać, a i po nastaniu wolności wydawcy jakoś nie sięgali po twórczość Bandrowskiego. Żadna z jego książek nie została wznowiona. Jak widać nawet po śmierci obu braci (Kaden-Bandrowski zginął podczas Powstania Warszawskiego), Jerzy pozostawał w cieniu Juliusza.

PIOTR KITRASIEWICZ

I.

Żołnierze z rykiem i wrzaskiem hurmą rzucili się na nadjeżdżające w ciemnościach wagony.

Wmieszawszy się w tłum, Zaucha, z małą walizeczką pod pachą, nie ceremoniował się, lecz, prąc całym ciałem, świdrując i wiercąc sobą, wklinił w szamoczącą się masę ludzką, sunął ku drzwiom wagonu sanitarnego, zdobywanego właśnie przez jego „odcinek”. W dzień nie ryzykowałby może czegoś podobnego, bo wchodzenie w drogę żołnierzom łatwo mogło się skończyć połamaniem żeber, ale w nocy, gdzieś za stacją, gdzie szybowano wagony, podobne przedsięwzięcia zwykły się udawać.

Mimo że wagony biegły jeszcze dość szybko, schodki wozu dudniły już od ciężkich kroków żołnierzy, z rozgłośnym stękaniami ciągnących za sobą swe toboły. Ciemności nocne warczały pogróżkami i klątwami, blaszane kociołki brzęczały, kolby karabinów zdradliwie godziły w kolana, „sółdackie” sumki, twardo wypchane łupem, ugniatały żebra i piersi. Nie zrażało to jednak Zauchy, przyzwyczajonego już do bezustannych bojów w sowieckiej Rosji, do zdobywania wszystkiego siłą zawsze i wszędzie. Zżył się z tym i nawet z pewnym radosnym podnieceniem nurzał się w krzyczących i huczących oddechach ludzkich, rad, gdy zdołał przedrzeć się przez nie i postawić na swoim, na złość pieniającym się z gniewu niedołęgom.

Nadeszła rozstrzygająca chwila.

Wciąż biegnąc wraz z pociągiem, zbита gromada żołnierzy ustawiła się jakoś tak, że Zaucha znalazł się przy stopniu, pod drzwiczkami wagonu. Teraz naprzód — i albo połamanie nóg, lub śmierć pod

kołami, albo miejsce w tym jednym z ostatnich pociągów, uciekających z Ukrainy przed Niemcami. Więc Zaucha zaparł się w sobie, wstrzymał dech, naprężył wszystkie członki. Splątane razem z nim, zwikłane grono ludzkie dźwignęło się w górę i poczęło wśród walk i klątw pięć się ku drzwiczkom. Kilkunastu kanciarzów olbrzymów szamotało się, grzmocąc ogromnymi pięściami i wywijając karabinami, zaś Zaucha prześlizgiwał się między nimi coraz bliższy celu, póki wreszcie, zgrzany lecz cały, nie stanął na skraju korytarzyka, zapchanego ludźmi i tobołami.

— Towariszcz, a, towariszcz! — odezwał się błagalny głos tuż za nim.
— Posuń się odrobinę naprzód, żebym choć nogę mógł postawić!

W milczeniu Zaucha ugiął się, jak mógł i przecie trochę miejsca zrobił jakiemuś kolosowi w szynelu. Było to w planie. Olbrzym zupełnie zatkał sobą wejście, a prócz tego na siebie już brał obowiązek walki z tymi, którzy jeszcze do wozu dostać się pragnęli. Wciśnięty między dwa twarde szynele, przesycone wonią machorki, ognisk obozowych i kapusty, sam drobny i szczupły, Zaucha stał, wyczekując, co dalej będzie. Udało mu się zdobyć miejsce w wagonie, więc teraz już z pogardą myślał o „głupim bydle”, dobijającym się wciąż do wozu.

— Gdzież leziesz jeden z drugim? — wołał w duchu, krzywiąc się z niesmakiem. — Żadnego porządku nie ma! Co za hołota!

— Towariszcz! — błagał ktoś, uczepiwszy się ramy wybitego okna w drzwiach już zatrzaśniętych. — Towariszcz! Cztery doby już czekam tu i do pociągu dostać się nie mogę. Wciąż — „miejsca nie ma”! Puść mnie!

— Jakże ja ci miejsce zrobię, kiedy go nie ma?

— A ty, wszystko jedno, posuń się troszeczkę!

— Gdzie ja ci się posunę, duszo boża?

— Gołubczik, odrobinę — a posuń się! Już ono się robi, miejsce, nie bój się, a to, mówią, ostatni już pociąg może... Hermaniec, mówią, idzie, w plen jego przeklęty popadnę...

— O, a tobie zaraz już i „Hermaniec idzie!” Fu, ty czort, łzesz i grzech na duszę bierzesz, żeby cię tylko wpuścić. No, chodź, zobaczę ja, gdzie ty to miejsce znajdziesz.

Drzwi się otworzyły. Wsunął się przez nie toból. („Pewnie rzeczy, zrabowane w którymś z rozgromionych dworów naszych!” pomyślał Zaucha). Za tym tobołem wpełznął się drugi, żywy, w żółtym szynelu, i tam, gdzie, zdawało się, igła już zmieścić by się nie mogła, znalazł przecie miejsce szeroki, barczysty żołnierz ze swym pakunkiem.

Scena ta powtarzała się co parę minut. Zaczynał ktoś skomleć pod oknem — odpowiadano mu niechętnie, odmownie, czasem okrzykami głośnego protestu, ale przecie po jakimś czasie drzwi się otwierały, nowy pasażer z westchnieniem radości i wdzięczności wciskał się w ciasny, zatłoczony korytarzyk, wymieniał z drugimi kilka ostrożnych, nie znaczących, dyplomatycznych zdań i chuchając w zziębnięte dłonie, zasztywał się w swój kąt, grzejąc się w cieple natłoczonych ludzi.

W miarę jednak, jak coraz dłuższym stawał się ten korek, zatykający ciasny korytarzyk, pasażerowie, znajdujący się w nim, posuwali się naprzód. Stłoczona masa ludzka ugniatała się, jak kapusta w beczce. Działo się to niezmiernie powoli, niewidocznie, tak, że nikt kroku naprzód nie zrobił, a jednak po pewnym czasie Zaucha o duży krok już oddalił się od drzwi i stanął u wejścia do malutkiego korytarzyka, prowadzącego do wozu.

Nareszcie kiszka ta tak się zatłoczyła, iż absolutnie już nikogo nie można było wpuścić. Wybuchło parę gwałtownych utarczek słownych, aż zapóźnieni podróżni, widząc bezowocność swych ataków, zaczęli wóz przepelnięny omijać.

II.

W zatłoczonym ludźmi wagonie panowała cisza.

Zrazu brzęczało kilka kłótliwych głosów, wadzących się o to, jak i gdzie najwygodniej ułożyć pakunki. Z rozmowy i akcentu można się było domyśleć, że to do drogi dalekiej układają się Syberyjczycy. Po jakimś czasie kłótnia ustała. Czasem szczęknęła blaszana zapalniczka i błysnęła żółtym płomykiem w ciemnościach, żarzyły się papierosy, ciężko dyszały szerokie piersi. Zresztą można było myśleć, że ludzie śpią.

Zaucha wiedział, że nie śpią. Przyczaili się tylko w ciemnościach i myślą. O czym? O sobie, o swych dziwnych przygodach na kruszącym się froncie, o krwawych ogniach dworców, gromionych przez „zieloną armię”, o nowych czasach, o tym wreszcie, czy uda się im cało dotrzeć do domu i dowieźć lupy.

Czasami, sapiąc i szczękając żelastwem, przelatywała obok wozu lokomotywa. Maszyniści porozumiewali się, gwizdząc z końca na koniec dworca według aparatu Morse’a. Coraz rzadziej chrzęściły po śniegu kroki żołnierzy, z klątwami i pobrzękiwaniem blaszanek szukających miejsc. Pociąg miał odejść o ósmej, północ już minęła, a o odjeździe nie było mowy. Pociąg stał, jak wmurowany.

— A może nas tu tak zostawia? — zaniepokoił się Zaucha.

Nie liczące się nigdy z ludźmi, przekorne a złośliwe władze bolszewickie często płatały takie figle.

Wtem wstrząsnęło wozem potężne uderzenie.

— Nareszcie! — pomyślał Zaucha.

Po krótkiem szybowaniu przypięto wagony do pociągu, po czym znowu zapadła głęboka cisza.

Skurczony w niewygodnej pozycji, wciśnięty między dwóch cuchnących żołdatów, emigrant rozmyślał o swojej doli. Prześladował go los zły i zawistny, siłę woli i wytrwałość nagradzający tylko nowymi upokorzeniami i klęskami. Bo w końcu to wszystko było jednym nieprzerwanym pasmem niepowodzeń. Gdzież Legia Wschodnia, jej bunt szlachetny i jej tragiczna wiara w możliwość zwycięstwa sprawy dobrej wbrew twierdzeniu, iż Bóg stoi zawsze po stronie silniejszych batalionów? Cóż z nieugiętości i cichej pokory serc tułaczy i emigrantów, wszelkimi sposobami wmawiających w Rosję dobrą wolę i szlachetne posłannictwo? Cóż wreszcie z rewolucji i nieskoordynowanych wybuchów zapału i energii rosnących w siłę oddziałów polskich? Z gałęzi na gałąź przelatuje Orzeł Biały, a front niemiecki rozwinął się od Bałtyku aż do Morza Azowskiego i dalej, przez Kurdystan do granic Indii. Żadnego zwycięstwa, same tylko straty i klęski, a on, Zaucha, znowu w wozie, między uciekającym żołdactwem bolszewickim, jadący — Bóg wie, dokąd i Bóg wie, po co.

Jednakże, mimo przygnębienia, nie czuł się złamanym na duchu. Nawet w krwawym chaosie rewolucji spostrzegał wyraźnie realizowanie się wielu wyroków sprawiedliwości, ledwie przeczuwanych dawniej, prorokowanych tylko. Niedostępny talmudystycznej sofisterei, może jednostronnie lecz jasno widział, iż „dokonuje się”. Co? Trudno było określić, ale cudownie i promieniście w tej szatańskiej gospodarce jedno po drugim wyświetlały się słowa boże.

Dlatego — nie rozpacział, poprzestając na tych zwycięstwach małych i drobnych, jakie mógł zdobyć. I tu było miejsce — w bolszewickim pociągu. Pojedzie. Sami bolszewicy go powiozą. A tam — może się przecie jeszcze na coś przyda.

Po kilku godzinach czekania daleko dał się słyszeć niewyraźny szmer.

— Kontrol! — szepnął ktoś czujniejszy niedaleko ucha Zauchy.

Istotnie, wsłuchawszy się w te szmery, można było rozróżnić głosy, otwieranie i zamykanie drzwi.

— Czort waźmi, na czto zdieś kontrol, mat' ich! — „rugnął” szeptem drugi głos.

Moment był istotnie nieprzyjemny. Zaucha miał paszport austriacki — nie miał wyobrażenia, jak się wobec niego bolszewicy zachowają. Ale liczył na swój poplamiony szynel rosyjski, nędzną czapkę i głupią, baranią minę. Jeszcze w szkole zawsze mu profesorowie mówili, że ma gębę zaspaną, baranią.

Zbliżały się głosy stanowcze, mocne, bezwzględne.

— Bolszewitskij komisar!

— Nu jewo!

Głośna rozmowa odezwała się już niedaleko. Wóz spał.

Ktoś raz i drugi bezceremonialnie szarpnął drzwiami, błysnęło oślepiające światło latarki. Do wozu wszedł komisarz bolszewicki, wysoki, chudy Żyd o jastrzębiej, czerwonej twarzy. Mimo że zachowywał się głośno, nie zwracano na niego uwagi. Nie pytał o dokumenty, przyglądał się tylko twarzom.

— Pokażcie swoje lico! — mówił drwiąco, budząc kogoś. — Chcę się nim porozkoszować. Nu, prędzej! Ja komendant. Nie o łaskę proszę, lecz rozkazuję.

Z górnej półki wychyliła się okropna, obrzękła morda, zaspana, głupia, idiotycznie zdziwiona, a okrutna.

— Wot czestnoje lico russkawo sałdata! — z ledwo dostrzegalną ironią wykrzyknął komisarz. — Nie sliszkom charoszoje no bolszewitskoje! A wy kto?

Trącił jakiegoś zaspanego lub udającego sen jegomościa, zawiniętego w świtek.

— Mordoczku, pożałujsta, pokażicie!

Pokazała się twarz „burżuja”, pulchna, różowa, gładko ogolona.

— Kak wasza familja? — zapytał ostro komisarz.

— Czyja? Moja? — pytał wystraszony czy zaspany inteligent

— Czyja? Nie moja, a wasza!

Pasażer — otyły olbrzym, łysawy blondyn, przeląkł się. Twarz drgnęła mu, że aż oczy zamknął. Wyjął z trudem:

— Sa-ła-wjow!

Patrzono na niego z pogardą.

— Wasz dokument? A, praporszczyków już nie ma. To było kiedyś, teraz — skończyło się.

— Teraz wszyscy równi! — pouczyło kilka głosów.

Mocny, badawczy wzrok Żyda obmacał kilka twarzy i przez mgnienie oka zatrzymał się na twarzy Zauchy, który stał przytający w sobie, z gapiowato otwartymi ustami. Drapieżne źrenice komisarza kilku spojrzeniami przekłuły ciemne kąty, w których piętrzyły się „sumki” i toboły żołnierzy. Wreszcie Żyd odwrócił się i wyszedł, zatraskując za sobą drzwi. Rewizja podrażniła żołnierzy.

— Jakiem prawem on wypytuje ludzi? — odezwał się ktoś. — Pokaż twarz! Jak wasza familia? A jak jego familia? A czemu on mnie pyta, a nie kogo drugiego?

Ale z górnych półek odezwały się gwałtowne, energiczne protesty. Leżeli tam „Krasnoarmiejcy” ideowi. Ci rozpoczęli teraz polityczną rozmowę, z kolosalnym tupetem posługując się obrzydliwym żargonem partyjnym i pod niebiosą wynosząc potęgę bolszewizmu.

III.

Pociąg ruszył.

Oparłszy się o ścianę i przestępując z nogi na nogę, Zaucha stał, leniwe i niedbałe tropiąc myśli, przemykające mu przez mózg. Bez protestu, z całą rezygnacją poddawał się monotonii niewygodnej, nowoczesnej podróży po Rosji, w ścisku, w nieopalonym wozie sanitarnym, bez światła. O świecy nie marzył i myśleć nawet nie chciał od chwili, kiedy podczas jednej z takich podróży widział, jak straż kolejowa rozstrzelać chciała „burżuja”, domagającego się lekkomyślnie światła w wagonie. Z uśmiechem przypominał sobie, jak stosunkowo jeszcze niedawno temu jechał tędy za tanie pieniądze pierwszą klasą pośpiesznego pociągu, jak jadł znakomity obiad w wozie restauracyjnym i jak eleganccy oficerowie flirtowali z rozkapryszonymi, uperfumowanymi damami w zacisznych, miłych „coupees”, mile oświetlonych elektrycznymi lampkami, przystrojonymi we wzorzyste, różnobarwne abażury.

— No i cóż? — myślał. — Było i nie ma i obejdzie się. Za to jest co innego. A co stanowi istotę życia? Któż wie? Bez wielu rzeczy można się obejść. Na przykład: można sprzedąć wolność za wygody, lub wygodami okupić wolność, a w gruncie rzeczy tak w pierwszym jak i w drugim wypadku jest niewygodnie. Ale jak prędko oni to potrafiliby zniszczyć i jak gruntownie! Jasna rzecz. Przyroda bez regulatora inteligencji dąży do chaosu.

Na którejś stacji pociąg stał rozpaczliwie długo. Nudno było niesłuchanie. Szczęśliwcy, którzy jako tako mogli wyciągnąć się lub zahaczyć o coś swe ciało, spali i drzemali. Inni stali, wzdychając z cicha. Ten i ów palił bezprzykładnie smrodliwego papierosa.

— A ty skąd jedziesz, towarzyszu? — pytał jakiś szept.

— Z rumuńskiej niewoli, z Kiszyniowa.

— Isz ty! — zdziwił się szept. — Z rumuńskiej niewoli? A czyż my z Rumunią wojujemy?

— Skąd mnie wiedzieć? Ja wiem tylko, że cały nasz artyleryjski pułk wzięli Rumuni do niewoli.

— Cóż to ty opowiadasz? — zniecierpliwił się trzeci.

— To niby po twojemu Rumuni zajęli Kiszyniów?

— A to kakże!

— Kłamiesz! Kiszyniów nie zajęty!

— Niech ci będzie nie zajęty, a ja w Kiszyniowie tym twoim cały miesiąc w rumuńskim szpitalu leżałem. Dopiero niedawno wypuścili.

— Nie można tobie wierzyć. Ty kłamiesz. Nie mogli Rumuni zająć Kiszyniowa. Jakżeby oni śmieli? My z nimi nie wojujemy.

— A co takiego? Daj ognia, towarzyszu? — przysunął się czwarti i przy rozdmuchanym żarze papierosa spojrzał mu w twarz. — Mówisz, że z rumuńskiego „plenu” jedziesz? A kto tobie kazał to mówić? Widziałeś ten „plen” na własne oczy?

— Połno gawarit’! Nikt mi nie kazał.

— Wieści takie fałszywe rozpuszczają, żeby Rosję rewolucyjną hańbić i niepokoić.

Zakotłowało w wagonie. Odezwały się głosy: — Durak! Niczego nie znajesz! Dieriewnia! Duraczjo!

— A mnie to co? Szczęśliwy, że wypuścili i że do domu jadę. Niech będzie po waszemu!

Uspokoilo się trochę, ale tuż odezwał się niski, spokojny głos:

— Tak ty w samym Kiszyniowie leżał, „soldatik?”

— Zostawcie już! — zniecierpliwiał się naciągany.

— Neeee. Dlaczego? Ja przecie też z rumuńskiej niewoli jadę!

— Ot, już i drugi jeniec rumuński się znalazł! — krzyknął ktoś zniecierpliwionym głosem. — Ech, wy, „zielona armia!”

— Drugi! Nie bój się! I tysiące naszych znajdziesz: w niewoli rumuńskiej, leśny kawalerze! — odpowiedział spokojnie tęgi, mocny bas. — Czemu gadasz, jeśli nie wiesz? Czemu żołnierzom uczciwym nie wierzysz? Ty dziewczka, żebym ja cię zwodził?

— Prawdę mów! — zaczęto wołać w wagonie. — Czemu nie wierzyć? Czym on gorszy od ciebie? Prawda to, że Rumuni Kiszyniów zajęli?

— I Kiszyniów i całą Besarabię.

— Czort! Czemuż oni przeciw nam wystąpili?

— Ich zapytaj!

— A czegoż dalej chcą?

— Mówią, że na Odesę pójda.

— Na Odesę?

W wagonie zapanowała konsternacja. Żołnierze zaniepokoiли się. Zaucha zauważył, że wiadomość o zajęciu Besarabii nie była im obojętna. W głosach ich, niedowierzających i podejrzliwych, drgało oburzenie, cień jakby wstydu, upokorzenia, gniewu. Nie dało się to nawet porównać z obojętnością, a nieraz nawet i złośliwą radością, z jaką wszelkie wieści tego rodzaju przyjmowała rosyjska inteligencja.

Zaucha milczał i słuchał, wytężając całe swe czucie i całą swą inteligencję. Zrozumiał, iż jest jednym z tych nielicznych, którzy mogą podsłuchać jakąś ważną tajemnicę przyrody. Mało znał chłopą rosyjskiego, nie miał o nim własnego zdania, a te, które spotykał, bywały często sprzeczne i rozbieżne. Nie zapominał jednak ani na chwilę o tym, że, jak wszędzie tak i w Rosji, lud odegra rolę decydującą, i że zatem głosowi jego trzeba się przysłuchiwać.

Ktoś z górnej półki wsiadł na rozmawiających, skarżąc się, że mu spać nie dają. Inny zjechał całe towarzystwo, twierdząc, że to wszystko głupie plotki, że żołnierzowi jednemu czy dwóm nie należy wierzyć, ponieważ oni nic wiedzieć nie mogą.

— A zresztą, choćby nawet Rumuni na razie, czasowo Besarabię i zajęli — niczego! Przyjdzie i na nas kolej. I Besarabię odbierzemy i mordę zbijemy.

Na to chętnie zgodzili się wszyscy.

IV.

Szary, posępny dzień zimowy zaczął świtać w zabrudzonych, parą pokrytych oknach. Kto mógł, bodaj iluzorycznie, ustalić równowagę swego ciała, drzemał, nawet na stojąco. Grube, jak toporem wyciosane, żółte twarze straciły wszelki wyraz i stały się, jak trupie. Obrzękłe, sine wargi rozchyliły się. Mocne, krótko ostrzyżone, twarde głowy kiwały się bezwładnie, ślaniały się ciała. Na górnej półce ktoś czasami jęczał przez sen dziko, strasznie.

— Ładne musi mieć sny ten przyjemniaczek! — myślał Zaucha.

Pierwsi zbudzili się Syberyjczycy, którzy w czterech zajęli miejsce przy oknie w jednym niskim przedziale. Chmurnie i z przekor-
nym uporem spoglądały w błady, niechętny poranek ich twarze suche,
dobrze modelowane, nieledwie inteligentne, a ostre profile wyraźnie
i cienko odcinały się od popielatego tła brudnej szyby, nasiąkającej
z wolna światłem. Drapali się w głowę, ziewali, przeciągali się. Je-
den z nich przyniósł parę kociołków wrzątku. Zasypawszy go herbatą,
odrobinę wody poświęcili na — fryzurę. Przeglądając się w małych
lusterkach kieszonkowych czesali się długo, z pedantyczną dokładno-
ścią pracując nad rozdziałem na głowie i nad symetrią loków. Skoń-
czywszy toaletę, rozdzielili między siebie bochenek chleba i z wiel-
kiego, dobrze wypchanego worka dobyli cztery blaszane puszki
konserw mięsnych. Systematycznie i z wprawą otwierali je nożami,
a żując powoli chleb, oglądali po chłopsku wbite na koniec noża ka-
wałki mięsa, oblepione żółtym tłuszczem. Potem, sapiąc i tykając gło-
śno, przez dłuższy czas zalewali trzewia herbatą. Kiedy się zaś najed-
dli i napili, zapalili po papierosie, porozumieli się wzrokiem i na dany
znak na cztery głosy zanucili jakąś pieśń wojskową, w marszowym
rytmie i z ciekawymi synkopami, ale melancholijną i smutną.

Głośny, smętny „pean” Syberyjczyków rozbudził cały wagon i te-
raz dopiero Zaucha mógł zobaczyć, z kim jedzie.

„Krasnogwardiejców” było zaledwie kilku. Rozłożyli się na gór-
nej półce i przy jednym oknie, gdzie ustawili też swe karabiny. Zresztą
wagon pełen był wracających z frontu żołnierzy, którzy się sami zde-
mobilizowali, poprostu uciekali, nakradłszy i narabowawszy na za-
pas, co się gdzie dało. Wszyscy zaopatrzeni byli znakomicie w odzież
zimową, której masy nakładli na siebie. Niektórzy mieli po dwa nowe
szynele. Między tymi „zbolszewizowanymi dezerterami” kręcili się
wychudzeni i pokorni żołnierze, wypuszczeni ze szpitali lub wracają-
cy z niewoli, zgłodniiali i źle ubrani.

Byli Syberyjczycy, były wąsate, pucułowate twarze Ukraińców
o rysach nieledwie mazurskich, byli wysocy, często zezowaci i ospo-
waci Wielkorusowie, poważni, skupieni i zamknięci w sobie, było tro-
chę Tatarów, zaś w jednym kącie o sprawach „miru”, pszenicy i ziemi
szeroko rozprawiali chłopci nadwołzańscy. Wśród żołnierzy prostych,

wśród typów silnych, mało skomplikowanych i wyraźnych, bez trudu poznawało się nierasowych, kundysowatych inteligentów miejskich, wątych, przedwcześnie wyłysiałych, z twarzami, których młody — dzięki ogoleniu — wyraz miał w sobie coś zdzieciniałego, z oczami wystraszonymi lub drwiącymi, ludzi niepewnych siebie, poniżonych, nieszczerych i niemęskich. Byli to poprzebierani i chyłkiem do domów powracający oficerowie rosyjscy, Zausze jednak zdawało się, że są to sami Żydzi.

W kłębach dymu, w ziemisto-żółtych szynelach i zsuniętych na tył głowy siwych „papachach”, wyglądało to wszystko na pierwszy rzut oka pośpennie, groźnie, nawet dziko. Niektóre twarze były istotnie straszne, wszystkie chmurne. Ale w owych czasach mało kto się uśmiechał, a Zausza zbyt dużo widział, aby wierzyć nieprzyjemnym pozorom. Żołnierze zachowywali się na ogół poprawnie, spokojnie, nawet grzecznie. Kto mógł drugiemu zrobić miejsce, robił je z uszczerbkiem dla własnej wygody, kłótni ani bitek nie było, rozmawiano, prawda, ostrożnie, ale chętnie. Tylko bezwarunkowo nie mówiono ani o wojnie, ani o rewolucji.

Zaczęło się zwykłe życie w wagonie — wylatywanie po wrzątek, picie herbaty, zagryzanie chlebem, wreszcie palenie machorki.

Kiedy się w wozie trochę rozluźniło, Zausze udało się przysiąść na ławce. Ucieszyło go to bardzo, bo teraz miał już pewność, że do Moskwy dojedzie na siedząco. Według ściśle przestrzeganych zwyczajów, których nawet rewolucja nie zniosła, nikt nie miał prawa ruszyć go z raz zajętego miejsca. I nikomu nawet na myśl by to nie przyszło.

Korzystając z tego i on wybiegł na jakiejś stacji po wrzątek. Wracając z pełnym wody kociołkiem zobaczył wagon eskortowany przez „Krasnoarmiejców”, a wiozący do Moskwy uciekającą z Kijowa wojskową misję francuską i angielską. Aż w nim serce zabiło na widok inteligentnych, cywilizowanych głów w siwych, rogatych „calote’ach” i w płaskich, okrągłych czapkach „khaki” z brązowymi lwami.

— Szczęśliwcy, psiakrew! — myślał. — Pojadą sobie do Archan-gielska, gdzie na nich wiernie czekać będzie własny, elegancki krążownik i wygodnie, nie śpiesząc się, pojadą do siebie. Ale co! Jak to było zacznie się wyrzynać, odpłyną sobie na parę metrów i będą

się temu przyglądali. Przegrali bo przegrali, ale wrócą do siebie, do domu. A ja co pocznę? Wojuj, jak nie masz pieniędzy własnej ziemi pod nogami, albo choćby tego krążownika! Ech, są szczęśliwe narody na świecie, są, są!

Koło południa zdarzyło się znów ciekawe „intermezzo.” Ktoś bąknął, że wojska austriackie i niemieckie zajęły Berdyczów i Żytomierz.

— Kto? Awstrijcy? Awstrijcy? Awstrijcy zajęli Berdyczów i Żytomierz? — śmiał się jakiś żołnierz. — Słuchajcie, towarzysze! Mówią, że Awstrijcy zajęli Berdyczów i Żytomierz!

Rozległ się głośny śmiech.

— A, może być, powiesz jeszcze, że oni i na Kijów pójdą? — żartował rozbawiony żołnierz.

— Nie wierzą w Austrię ci ludzie! — ucieszył się Zaucha.

— Wierno. Idą na Kijów. I bardzo być może, że już są w Kijowie.

— Awstrijcy? Ani na krok z miejsca ruszyć się nie mogą! Co Awstrijcy! Sami ledwo na miejscu stali! Nasi ich nie puszcza! „Samostijniki” z nimi idą.

— Jacy nasi? Może ty? Sam do domu uciekasz, a chcesz, żeby się drudzy bili!

— Tam jest front!

— G... nie front, to ja ci powiem. Takie czasy przyszły, że nawet Awstrijcy mogą iść, gdzie zechcą.

Wybuchła kłótnia. Jedni dowodzili, że frontu nie ma, drudzy wysmiewali Austriaków, twierdząc, że oni do żadnej akcji zdolni nie są. Spór przerwał „Krasnoarmiejec”, który wyjął bolszewickie „Izwiestja” z kieszeni i, nie wdając się w dyskusję, odczytał głośno komunikat urzędowy, donoszący o pojawieniu się pod Berdyczowem paru podjazdów austriackich, wysłanych wyłącznie w celach furażerki, wszelkie jednak wiadomości, jakoby mogli zająć Berdyczów, są nieprawdziwe.

— Oto — komunikat urzędowy! — śmiał się zwiastun złej wieści. — Więcej wiem ja, który spod Berdyczowa uciekałem...

— Tchórze uciekają! — mruknął właściciel, „Izwiestii.”

— Ja cztery razy ranien byłem! Nie tchórz! A sam się bić nie będę, kiedy wy uciekacie!

— Ale temu, co nasze „Izwestja” piszą, przeczyć nie wolno! My, „Krasnogwardiejcy”, sami najlepiej wiemy, jak jest.

Po chwili milczenia zaczęło mówić o czym innym.

Dusza Zauchy rozszerzyła się szerokim, błogim uśmiechem.

Oto wolność przekonań, oto wolność i uczciwość prasy, rzekomej opinii publicznej, oto prawdziwość informacji urzędowych, oto potęża pisma! Tak zawsze było, to prawda. Prasa autoryzowana plotkarka, łże świadomie, dla tendencji, i nieświadomie, z powodu ignorancji. Więc coś się zmieniło? Zabawienie kłamstwa. Łgarstwo jest dzisiaj w kolorze czerwonym.

Przypomniat się Zausze najmłodszy brat, który jako mały chłopaczek, namiętnie lubił patrzeć na świat przez czerwone szkiełko. Z oka go nie wyjmował. Ale świat od tego szkiełka nie poczerwieniał, a tylko chłopcu czerwone gruczoły na oku wystąpiły.

— Czerwone zołzy! — śmiał się w duchu Zaucha.

V.

Po południu wsiadło do wozu kilku nowych pasażerów. Wpuszczono ich dla zabawy. Było to jakieś starsze małżeństwo, łyk małomiejski z dobrodusznie chytrą miną i jego żona, szeroka, tłusta baba, Kozaczka, demonstrująca niesłychaną rewolucyjność i ze wstrętem spluwająca za każdym razem przy słowie „szlachcic”. Para ta jechała dokąś „po chleb”, a Zaucha domyślił się bez trudu, iż krwi chciwa przewrotowość staruszków pochodziła z chęci przypodobania się żołnierzom i ze strachu, aby ich z wozu nie wyrzucono. Żołnierze woleli by byli porozmawiać o tym, co na wsi słyhać, prowokowani jednak przez Kozaczkę, potakiwali jej półgębkiem.

Znacznie większe wrażenie zrobiło pojawienie się młodej pary żydowskiej. On, z twarzą bladą, zniszczoną, łajdacką, w granatowym birecie i w takiejże pelerynie, wyglądał jak typowy „apasz”, zaś koryzstając z przywilejów nowych czasów, otwarcie przedstawił się żołnierzom jako „warszawskij wor, karmanszezik”*, co podróżni przyjęli

* Warszawski złodziej kieszonkowy.

z uznaniem i wybuchem radości. Ona, młoda, w wołokowym kaftanie, w mitenkach i pretensjonalnie zaczesana, twarz miała taniej „rogówki”, a przypominała małomiejską Surę.

Para ta korzystnie przyczyniła się do ożywienia nastroju. „Doliniarz” wyśpiewywał kuplety, żołnierze rozpoczęli ożywiony flirt ze Surą, znalazła się harmonia, nawet Syberyjczycy zaciekawieni przerwali swój posępny „pean”. Zaczęło się robić wesoło. Jakiś światowiec, przysiadłszy się do Sury i zrobiwszy dowcipną minę, obsypał ją deszczem pornograficznych jednoznaczników, dobierając figur jak najprzejrzystszych i najbardziej rozłożystych, a słów jak najmocniejszych, gwałcących. Zaś siedzący obok niego Tatar za każdym takim słowem rżał głośno, kręcił głową, zachwycony wodził wzrokiem po twarzach towarzyszy i chwalił:

— Su-kin-syn! Jakby w książce czytał!

Dłużył się czas, ale przecie — jechało się.

Zaucha zdrzemnął się trochę.

Kiedy się zbudził, „doliniarz” grał z kilku żołnierzami w hazard, zaś Sura z piskiem i pokazywaniem skombinowanych „dessous”, wywijając nogami w czerwonych, bawełnianych pończochach, windowała się na górną półkę, dokąd ją wciągało kilka par mocnych, młodych rąk.

Zapadł zmrok, długi, przykry, przynębiający. Gaśły i ciemniały brudne szybki sanitarnego wozu. Bez końca ciągnęła się pokryta śniegiem równina, na której ciemnymi plamami znaczyły się z rzadka zbiegowiska czarnych chat. Syberyjczycy, zbudziwszy się z mocnej, poobiedniej drzemki, zawyli melancholijnie swój „pean” o pięciuset zwrotkach, inni podróżni drzemali, ziewali, patrząc w coraz bardziej gęstniejący błękit, układali się do snu, lub, chcąc przekrzyczeć turkot kół, rozmawiali gromkimi głosami.

Wieczorem, kiedy wszyscy prawie posnęli, zrobił się rumor i do wagonu wdarł się nowy pasażer, czysto i przyzwoicie ubrany typowy feldfebel, z wygołoną twarzą, przymarznętym nosem i jasnymi, zimnymi oczami lokaja lub woźnego, jak się później okazało — Łotysz. Jechał z papierami z „Głównej Kwatery”, opowiadał dużo o swym poufałym stosunku z głównodowodzącym bolszewickim, chorążym Krylenką, zaś wieści, jakie przynosił, zgalwanizowały cały wagon.

— Giermancy idą na Psków! — biadał na cały głos. — Dawno już mówiłem Krylence: — Towarzyszu, posłuchajcie wy mojej rady, Niemcom nie wiercie! — Ale — gadaj sobie. Sam mądry. A wot-tie-na! Teraz co? Teraz g... w rot nabrał i milczy. A ty, matuszka Rassieja — stradalnica, ratuj się, jak możesz i umiesz. Ale nikt jej ocalić nie chce, każdy myśli tylko, jakby skorzystać...

— Sabotaż burżuazji niszczy rewolucję! — odezwał się ktoś.

— Jaki sabotaż? Prosto — robotnicy zdradzają! — wykrzyknął Łotysz.

Tego już za wiele! Robotnik nie zdradzi!

— A wot — ja jechałem z pociągami Głównej Kwatery. Tak oto kolejarze zatrzymywali pociągi po drodze i żądali okupu. Tor kolejowy rozebrali. Prawda, że w razie ewakuacji należała im się pensja trzymiesięczna, której nie dostali, bo o tym nikt nie pamiętał, ale w każdym razie tor kolejowy przed pociągami Głównej Kwatery rozbierać — to już nadto.

— Nu, jeśli im nie wypłacono...

— Rzecz w tym, że oni pójdą tam, gdzie im lepiej zapłacą. Oni, swołocz, dla Giermanca rabotajut.

Otwarty i śmiały ton Łotysza, a także oddalenie od frontu ośmieliło i innych — i posypały się wieści. Każdy coś wiedział. Nikomu nie było tajnym, że Niemiec idzie naprzód i na północy i na południu, a prawie wszyscy już kołowali z powodu przerwania bezpośrednich połączeń kolejowych. Tam, bliżej frontu, milczeli, bojąc się, aby ich agenci bolszewicy nie zatrzymali po drodze, jednakże, choć się i nie mówi, każdy wie, czego się trzymać. Czemuż to jadą do Moskwy tak długo, czemu posuwają się naprzód tak powoli? Bo droga zabita jest pociągami. A na południe pociągi idą? Nie. Spotkali jeden jedyny eszelon wojskowy. A front? Głupi tylko może jeszcze mówić o jakimś froncie. Frontu już dawno nie ma.

— Ginie Rosja! — zakonkludował Łotysz. — I ja ię obawiam, że z nią przepadnie nasza swoboda.

Ani jeden głos protestu się nie odezwał.

— A na Orszę można jeszcze jechać?

— Na Orszę? Na Orszę Polacy idą, Dowbor-Muśnickij...